

OPOWIADANIE

I miejsce

Agata Jońca, ZSCKR Sichów Duży, Herbata

Agata Jońca

*Pamięci Wandy Kertz, Aleksandry Zagórskiej
i jej syna-Jureczka, których to losy budzą podziw i dodają sił*

Herbata

Wychowując się w domu dziecka, nabywasz kilka istotnych cech – np. bycie cierpliwym jest na porządku dziennym. Zawsze wszystkiego brakuje, dlatego każdy musi się dzielić i czekać na swoją kolej. Największy problem to zabawki. Gdy w zbiorach pojawił się nowy miś lub lalka, wszyscy chcieli się pobawić. Rozsądne opiekunki jednak czuwały i sprawiedliwie rozdzielały pluszaki, drewniane klocki czy kolorowe piłki. Kolejną rzeczą jest spryt. Och, ile razy podwędzało się dodatkowy deser lub koc, gdy nikt nie patrzył... Ważne było to, żeby nikt Cię nie przyłapał, bo groziło za to solidne manto. Trzeba jeszcze wspomnieć o waleczności. Nie można dawać sobie w kaszę dmuchać. Co to, to nie! Zawsze bronić słabszych, klócić się o swoje, a gdy jest jakiś konflikt – starać się go zażegnać. Nigdy nie podejrzewałam, że te wszystkie cechy przydadzą mi się w późniejszych latach życia.

Mam na imię Jagoda, mam 18 lat i żyję w strasznych czasach. Świat pochłonęła I wojna światowa. Mój sierociniec przez to, że znajdował się na uboczu Lwowa jako tako przetrwał. Było bardzo ciężko, brakowało podstawowych rzeczy: jedzenia, ubrań, leków. Na wiosnę wybuchła u nas epidemia grypy hiszpanki. Wtedy pierwszy raz w życiu zetknęłam się ze śmiercią. Z powodu wątłego zdrowia i niedożywienia część dzieci umarła. Pomagałam kopać groby niedaleko placówki, ponieważ cmentarze były zniszczone. Pochowałam moją najlepszą

przyjaciółkę – Alinę. Oddano nas do domu dziecka w tym samym dniu, miałyśmy wspólną prycz i mimo wszystko spędzałyśmy dni pełne przygód. Po jej odejściu przez parę dni nie jadłam, a nocą, gdy zasypiałam wymęczona płaczem, przytulałam się do jej koca –jedynej rzeczy, która mi po niej została.

W listopadzie 1918 roku zakończyła się wojna. Wszyscy mieli łzy w oczach, a okrzykom radości nie było końca. Ja, parę koleżanek oraz dwie wychowawczynie pojechałyśmy do centrum Wilna. Zwróciłyśmy się o pomoc do Czerwonego Krzyża, którego namioty były rozstawione w kilku punktach. Gdy otrzymywaliśmy trochę odzieży i leków, mój wzrok przyciągnęło ogłoszenie. Werbowoło ono kobiety do Ochotniczego Działu Milicyjnego Kobiet.

Jak się okazało, walka o niepodległość Polski trwała nadal. I zamierzałam wziąć w niej udział. Po rozmowie z wychowawczynią, udałam się pod wskazany adres. Trafiłam do Komendy Głównej Straży Miejskiej, a tam spotkałam Janinę Ładę-Walicką, która prowadziła rekrutację. Nie owijałam w bawełnę...powiedziałam, że jestem sierotą, że ukończyłam tylko szkołę podstawową i że nigdy nie miałam do czynienia z bronią, ale jestem zdeterminowana do tego, by walczyć o Polskę i w razie konieczności oddać życie za ukochaną ojczyznę. Pani Janina spojrzała mi głęboko w oczy i szukała w nich prawdziwych intencji. Zaczęła mówić, że to nie jest zabawa – to prawdziwa wojna z prawdziwym wrogiem, który nie zna litości. Ja mimo to nie odpuszczałam. W końcu po paru minutach rozmowy, zgodziła się, żeby wysłać mnie na wstępne szkolenia. Miałam parę godzin na spakowanie. Zebrałam cały mój dobytek do jednej walizki, pożegnałam się z koleżankami, wypełniłam dokumenty potwierdzające, że nie jestem już pod opieką domu dziecka i uściskałam się z moimi opiekunkami. Strasznie rozpaczały i odradzały, jednak ja byłam nieugięta. Obiecałam, że jeśli Bóg da, wrócę i spotkam się z nimi.

Trafiłam na poligon razem z innymi chętnymi pod oko Wandy Gertz pseudonim „Lena”. Cóż to była za kobieta! W przebraniu mężczyzny, pod nazwiskiem Kazimierz Żuchowicz, pełniła służbę w I Brygadzie Legionów Polskich. Nie miała litości, każde ćwiczenie sprawnościowe musiałyśmy powtarzać setki razy, aż paliły nas mięśnie, a gdy strzelałyśmy nie warto było pudłować. Przewidziane za to było 8 rundek wokół obozu i całonocna warta bez możliwości zmiany. Szybko robiłam postępy, byłam uważna, chłonełam każdą wskazówkę i nie wychylałam się przed szereg. Z sześćdziesięciu dziewcząt została połowa. Poradzono nam, żebyśmy wymyśliły sobie jakieś pseudonimy. Na kolacji była burza mózgów i dziewczyny obdarzyły mnie mianem „Ziutki”.

Byłyśmy z sobą zżyte, wiedziałyśmy, że na polu walki musimy odpowiadać za siebie. Podczas szkolenia poznałam Marysię vel „Lukrecja”. Pseudonim wziął się od jej czarnych oczu i trochę od charakteru, ponieważ nie każdy ją lubił. Była cyniczna, chłodna i rzadko się uśmiechała. Mimo to odnalazłam w niej bratnią duszę. Miała dużą wiedzę na temat broni i medycyny. Wiele się od niej nauczyłam, a Marysia cieszyła się, gdy słuchałam jej uważnie. Po paru dniach zostałyśmy wysłane na szkolenie główne. Polegało na obsłudze karabinów maszynowych, pierwszej pomocy i nauki sprawnego wywiadu. Po ukończeniu kursu, każda została wysłana do innej służby. Ja wbrew swojej woli zostałam przydzielona do sanitariuszek. Przygotowywałam opatrunki, sterylizowałam narzędzia i opatrywałam rannych po bitwie na Cmentarzu Łyczakowskim. Ze znużoną miną pomagałam lekarzowi zszywać rany po postrzałach jednemu z żołnierzy, gdy nagle z dworu rozległ się rozpaczliwy krzyk. Do namiotu wbiegła kobieta, pytając o jakiegoś Jurka. Lekarz wpiersz wyprężył się i stał chwilę bez ruchu, po czym powiedział do mnie: „Dokończ opatrywać rannego” i wyszedł z łkającą kobietą na zewnątrz. Bez słowa zajęłam się zabiegiem i starałam się podsłuchać rozmowę. Nagle usłyszałam tylko głośnie „NIEEEEE!!!” i dźwięk szamotaniny. Wybiegłam szybko zobaczyć co się dzieje, a tam doktor trzymając kobietę w ramionach, próbował ją uspokoić, a ona łkając powtarzała tylko: „Jureczek... zabili go...”. Gdy lekarz zaproponował coś na uspokojenie, ona odepchnęła go i ruszyła w stronę lasu, który znajdował się niedaleko polowego szpitala. Spytałam się lekarza, czy mogę iść na przerwę, ruchem ręki udzielił pozwolenia. Gdy wszedł do namiotu, ja pobiegłam szybko do kuchni, nalałam herbaty do miedzianego kubka i ruszyłam w las. Nie musiałam długo szukać. Zrozpaczona kobieta klękała przed drzewem, gdzie na jego pniu nożem wycięła krzyżyk i drżąc by powstrzymać płacz, gorliwie się modliła. Nie chciałam absolutnie przeszkadzać, lecz szelest liści zdradził moje położenie. Ona, w ułamku sekundy, wyciągnęła pistolet i wymierzyła we mnie. Trzymałam się dzielnie, choć krew odpłynęła mi z twarzy, a nogi zrobiły się miękkie jak wata.

- Czego chcesz? – krzyknęła. Nie widzisz, że odmawiam modlitwę, gówniaro?!

- Tak, przepraszam Panią, ja nie chciałam...

- Baczość! Rozmawiasz z Zagórką, majorem Wojska Polskiego, więcej szacunku!

Odstawiłam kubek na ziemię i oddałam należyty honor. Zaszło mi w ustach i tylko patrzyłam w oczy Pani major Aleksandry Zagórkowej, komendantki Ochotniczej Legii Kobiet, do których należałam. To człowiek-legenda, waleczna i nieustraszona, każda chciała być jak ona. Celując nadal i nie poruszając się spytała:

– Po co tu przyszłaś?

– Nie chciałam żeby Pani była w tych najtrudniejszych chwilach sama. My, kobiety musimy się trzymać razem. W smutku i szczęściu. Jeśli Pani jest taki rozkaz, pójdę i nie będę zakłócać żałoby.

– Już to zrobiłaś – warknęła. Nie wiesz jak to jest stracić dziecko, swoje szczęście, o które się dbało i kochało, a teraz...- przygryzła wargi, powstrzymując łzy.

– Straciłam przyjaciółkę. Zmarła na hiszpankę. Chowałam ją w grobie, który wykopałam. Była dla mnie jak siostra i jedyną rodziną.

Twarz major lekko złagodniała.

– Jesteś z sierocińca?

– Tak jest, Pani major.

– Że Cię przyjęli... cóż, każdemu trzeba dać szansę. Zostaw kubek i wracaj do obowiązków. Bez słowa zasalutowałam, odwróciłam się na pięcie i poszłam. Kątem oka zobaczyłam, że wzięła kubek do ręki, wypła łyk i skierowała się w stronę drzewa.

Nadszedł czas, gdy i ja musiałam wziąć karabin do ręki. Wszystkie kobiety z naszego oddziału, zostały skierowane na pierwszą linię frontu. Byłam zwarta i gotowa, a także szczęśliwa, bo miałam spotkać się z Lukrecją. Ona w trakcie przydziału została skierowana do wywiadu. Dzień przed bitwą, wymknęłam się z Marysią do osobnego namiotu, gdzie składowano amunicję. Wielkimi krokami zbliżał się styczeń i było już bardzo zimno, lecz zależało nam na prywatności.

–Wywiad to świetna rzecz, nigdy nie podejrzewałam, że istnieją takie metody szyfrowania! – opowiadała z wypiekami na twarzy. I te wszystkie tajne dokumenty... no, Ziotka, a Tobie jak szło latanie z nocnikami? – szyderczo się zaśmiała.

–Możesz się uspokoić? Zajmowałam się rannymi ludźmi i nie jest to ani trochę zabawne. Ci żołnierze strasznie cierpią, mimo podania leków przeciwbólowych. Spotkałam, również major Zagórską, chyba jej syn...

– Czekaj, czekaj! TĄ major Zagórską?!

– Tak, nie przerywaj mi to się wszystkiego dowiesz.

Pokrótkie opowiedziałam jej swoją historię. Lukrecja gwizdnęła.

– No pięknie oko w oko z legendą... zazdroszczę Ci, ja bym nigdy nie zachowała takiej zimnej krwi, zapewne zaczęła bym się jękać – puściła do mnie oczko.

Rozmawiałyśmy jeszcze na różne tematy, o swojej przeszłości i przyszłości, o urodzie i paru przystojnych chłopakach, którzy czasem przynoszą meldunki. Gdy zaczęłam opowiadać, który

najbardziej mi się podoba, nagle rozbrzmiał przenikliwy odgłos syreny. Zerwałyśmy się na nogi, bo dokładnie wiedziałyśmy co to oznacza. Szybko porwałyśmy karabiny, parę paczek amunicji i pobiegłyśmy na stanowiska. Reszta dziewczyn też szybko się zwerbowała. Z lasu wyłoniło się około pięćdziesięciu Ukraińców. Z dzikim uśmiechem i śpiewem na ustach chcieli rozpocząć atak. Niewiele myśląc, wypaliłam do najbardziej wychylonego przed szereg. On upadł twarzą w śnieg, który powoli zaczął zmieniać barwę na szkarłatną. Zaczęła się walka. Kule świstały koło uszu, lecz trzymałam się dzielnie skupiając się tylko na pokonaniu wroga. Nie spodziewali się, że zostałyśmy tak świetnie przygotowane. Nacierali mocno, lecz kule coraz mniej chybiały. Z Marysią rozdzieliliśmy się. Pobiegłam ratować Danusię, która Ukrainiec złapał i chciał przebić bagnetem. Zaszłam ich od tyłu i wbiłam mu nóż pod żebra. On z krzykiem upadł na ziemię i zaczął wić się z bólu. Przykazałam Dance pilnować go. Gdy spojrzałam w stronę lasu, zobaczyłam, że zaczęli się wycofywać, z głośnymi przekleństwami, ciągnąc za sobą rannych. Zaczęłam się przechadzać po polu walki. Patrzyłam na podziurawione namioty, czerwony śnieg i martwe twarze. Nagle zobaczyłam znajome buty. Życie przeleciało mi przed oczami i podbiegłam do Marysi. Trzymała się za brzuch, ręce miała we krwi, a jej oczy zaczęły się przemykać.

– Marysia, nie! Szybko lekarza, pomóżcie, mamy ranną!!!! Marysia, trzymaj się wszystko będzie dobrze, patrz na mnie...

– Jak mi zimno...

– Nie, nie mów nic, musisz mieć siłę..

– W końcu spotkam się z babcią. Oj Jagoda, jak bardzo boli!

– Cichutko, nie mów już idzie lekarz, pomożemy Ci...

– Jagoda... choć znałam Cię krótko... byłaś wyjątkową przyjaciółką...

– Lukrecja, nie, nie mogę Cię stracić! – zaczęłam płakać

– Spokojnie... będę zawsze przy Tobie...

Jej ciało znieruchomiało, a oczy zrobiły się puste i nie patrzące już nigdzie. Zaczęłam dosłownie wyć i przytulać martwe ciało przyjaciółki. Po chwili zerwałam się i chciałam zabić tych dwóch ocalałych jeńców. Dziewczyny powstrzymywały mnie, kazały się uspokoić. Po chwili poczułam ukłucie w szyi i upadłam na kolana. Podano mi środek uspakajający, po którym zasnęłam.

Obudziłam się po paru godzinach. Zapytałam lekarza, co zrobili z ciałem Marysi. Powiedział, że jej rodzice muszą dokonać identyfikacji że bardzo mu przykro. Łzy znowu napłynęły mi do oczu. Gdy lekarz wyszedł, ja ubrałam się szybko i wybiegłam ze szpitala.

Pobiegłam na pole i choć wiatr hulał, nie było mi zimno. Chciałam, żeby mnie porwał, wziął do jakiegoś lepszego miejsca, bez bólu i łez. Czas mijał. Wkrótce przez lekką mgłę zobaczyłam, że ktoś do mnie zbliża. Porwałam ostry kamień, ponieważ nie miałam innej broni przy sobie.

– Spokojnie dziecko...

– Pani major..?

– Spokojnie, chodź już do bazy, jesteś strasznie zimna. Bez słowa dałam się wziąć w ramiona i poprowadzić w stronę namiotu. Nie czułam nic. Pani Zagórska usadziła mnie na łóżku, owinęła w koc i dała do ręki miedziany kubek z herbatą. Patrzyłam tylko na swoje odbicie w napoju, a Pani Aleksandra odpaliła papierosa.

– Zaczęłam palić po śmierci syna. Jureczek miał tylko 14 lat... był uparty jak ja. Powiedziałam, że ani jedną nogą ma się nie pojawić na polu bitwy, a on i tak... – zaciągnęła się.

– To jest właśnie wojna. Bezlitosa i nie patrząca na nic – podeszła do mnie, a mi łzy zaczęły kapać do naczynia. Jesteś bardzo dzielna dziecko. Jednak sama wiesz, na co się pisałaś. Nie rezygnuj z tego. Świetny z Ciebie żołnierz. Straciłaś bliską osobę, ale nie poszło to na marne. Uratowałaś koleżankę, która teraz czeka na Ciebie, żeby Ci podziękować. Weź się w garść, oni tu z nami są... – głos jej się załamał i odwróciła się by wytrzeć oczy. Ogrzej się, ja wracam do obowiązków – skierowała się w stronę wyjścia.

– Proszę Pani!

– Tak?

– Dziękuję. Bardzo dziękuję za wszystko.

Kiwnęła tylko głową i wyszła. Ja łkając jeszcze, ale z sercem pełnym nadziei, odstawiłam kubek na stolik i przykryłam się kocem, który wydawał się dziwnie znajomy.

– Dobranoc Marysiu... będę o Tobie zawsze pamiętać – szepnęłam i zasnęłam.

II miejsce

Oliwia Zapisek, ZSCKR Rudka, Wspomnienia pradziadka Bronka

Oliwia Zapisek

Wspomnienia pradziadka Bronka

Pradziadek Broniek mógłby usiąść teraz przy kominku i opowiedzieć mi historię swego życia. Ale nie ma go już z nami, więc opowiem ją w jego imieniu korzystając z rodzinnych przekazów i zapisków, które udało mi się odnaleźć w domowym archiwum.

Czasy mojego dzieciństwa wspominam niechętnie, wojna przeganiała naszą rodzinę z miejsca w miejsce, z Brześcia do Grodna, z Grodna do Drohiczyzna. Tułaczka zakończyła się, kiedy przyjechaliśmy do Rudki. Był rok 1906. Miałem wtedy 10 lat. Ojciec dostał posadę gajowego, zatrudniony przez Konstantego i Joannę Potockich, właścicieli pałacu i dóbr rudzkich. Pragnęli oni przywrócić świetność pałacowi, dawniej należącemu do rodu Ossolińskich, teraz gnijącemu i rozkradanemu przez miejscowych chłopów. Ojciec jako piśmienny i znający się na pracy w lesie razem z panem zrobił nowy plan leśny, nadzorował zalesianie nieużytków i gorszych ziem, na których tylko chwasty chciały rosnąć.

Od pana dostaliśmy gajówkę na Siemionach. Budynek może i był kiedyś nadający się do mieszkania, ale tego dnia, kiedy zajechaliśmy na majdan, ujraliśmy budynek drewniany, dość duży, ale okna wybite, drzwi z futryn wyrwane, w dachówce dziury, na ganku podpartym czterema filarami, deski podłogowe połamane. Matula przygarnęła mnie i Jankę (moją siostrę) do siebie i głośno

szlochała. Naraz zaczęła ojcu wyrzuty robić, że na poniewierkę nas wywiózł i w tej dziczy z głodu i chłodu pomrzemy. Dziki las, nikogo dokoła, matula kazała odwieźć się do wsi chociaż na noc. Koń musiał trochę odpocząć, bo ciągnął nasz wóz wypełniony tym, co udało się spakować. Cały nasz dobytek zmieścił się na tej furmance. Weszliśmy razem do środka, żeby się rozejrzeć. W środku były trzy duże izby, jedna z piecem chlebowym i kuchnią na 4 fajerki, druga najjaśniejsza i największa wprost wejścia, była chyba salonem, jedyna miała podłogę drewnianą. Stał w niej kredens i szafa trzydrzwiowa, duży stół i pięć krzeseł drewnianych, jedno połamane. Dwie pozostałe izby skromniejsze, dwa łóżka bez sienników stały w jednej izbie - w alkierzu. W niej też duchówka była, co grzała i "salon". Ostatnia izba chyba spiżarnią była, małe okienko, dużo ceberków i żarna do mielenia mąki. Wszędzie widać było, że nikt nie ograbił tego miejsca, ale ten, co mieszkał tu ostatnio, musiał szybko się stąd wyprowadzać. Matula powiedziała, że podoba jej się tu i to będzie nasz dom, tylko trzeba tam uporządkować, posprzątać, oszklić okna, połatać dach. Na ten czas mieszkaliśmy w folwarku w Spieszynie. Powoli ojciec budował gospodarstwo, za drewno kupił jałówkę i dwa prosiaki, kilka kur i koguta. Stodoła i chlewik były już na majdanie, który stał się naszym folwarkiem. Czasami nawet dzikie zwierzęta przychodziły pod dom, szukając czegoś do jedzenia. Ja i Jaśka złapaliśmy kiedyś małego dziczka, sam był, pewno od stada odbił. Najpierw schowaliśmy go w spiżarce, a jak ojciec pod wieczór ze zrębu brzozonego wrócił, to dziczka do naszych prosiaków dołożył i rosły razem. Ojciec i matula ciężko pracowali. Matula od okolicznych babek dostała nasion warzyw i cebule, zaczęła wydzierać kawałek warzywnika ze zdziczałej ziemi, posadziła kilka drzewek owocowych. Ojciec ogroził to wszystko, bo by dzika zwierzyna wszystko zryła i zjadła. My pomagaliśmy matuli, szkoły nie było w okolicy, czytać i pisać to tylko Państwo Potoccy, proboszcz i urzędniki potrafili. Nas ojciec wieczorami uczył trochę czytać i pisać, i rachować. Ja to rachować lubiłem, bo chciałem, jak ojciec w lesie drzewa policzyć, ile zasadzić, ile wyciąć. Janina bystrzejsza była, bo starsza dwa

lata. Na wiosnę 1914 roku urodził się nam Tosiek, taki mały berbec, a darł się w niebogłosy całe dnie. Tylko w nocy spokoju było więcej, bo spał jak ten szarak pod miedzą. Miałem wtedy 18 lat, a Janka 20 i kończyła Lwowską Szkołę Pielęgniarek. Tego samego roku, latem wojna wybuchła. Jaśka, zaczęła pracę w Czerwonym Krzyżu, w szpitalach polowych na różnych frontach. Do domu już nigdy nie wróciła, nikt nam nie powiedział, czy i gdzie zginęła.

Pani Potocka musiała wyjechać, a Rudka znalazła się w Ober-Ost. Nowi administratorzy naznaczeni dla Rudki i podległych folwarków przez władze niemieckie w roku 1915 rozkradali wszystko, ciemnieżyli chłopów. Ci uciekali do lasów, żeby nie podzielić losu bieżenców, gnanych przez kozaków, policję i wojsko na wschód i których większość pozostała przydrożną, bezimienną mogiłą.

Wielu okolicznych mieszkańców Rudki znalazło u nas schronienie. Kilka lat wcześniej oni pomogli przeżyć w nowym miejscu naszej rodzinie, teraz kryli się u nas, to w stodole, to w ziemiance. Małe dzieci spały w domu, a my młodzi na sianie. Po kilku takich nocach zaczęła mnie okropnie swędzieć głowa. Kiedy podrapałem się po niej, posypały się wszy, którymi zaraziłem się od towarzyszy. Obrzydliwe to było, inni śmiali się, że to żuczki, a ja znieść tego swędzenia nie mogłem. Przyszła jesień, gdy tylko wojska wycofały się z naszej okolicy, ludzie wrócili do swoich domów. Zastali splądrowane i zdewastowane domostwa i zagrody. My w lesie mieliśmy jako taki spokój. Jedzenia wystarczało, nikt nas nie niepokoił. Tak minęły kolejne lata wojny. W październiku 1918 roku Niemcy opuścili Ober-Ost i pan Krasicki, plenipotent naszej Pani powrócił do Rudki. Zastał obraz nędzy i rozpaczy: pola porośnięte chwastami i samosiewkami brzozowymi. Zagajniki, które pieczołowicie doglądał mój ojciec spustoszone przez pasące się w nich bydło, drzewka wyłamane, drzewa wycięte i rozkradzione. Całą pracę trzeba było rozpoczynać od początku. Krasicki opowiadał nam, że pałac zastał rozkradziony, budynki folwarczne zdewastowane,

zwierzęta gospodarcze zamorzone, ledwie przeżyły dwa konie i trzy krowy chude i zaniedbane.

W 1919 roku do pałacu powróciła Pani Potocka. Prace w pałacu, folwarkach i polach postępowały. Jednak niektórzy ludzie zgnuśniali podczas wojny, rozkradali, co się da, napadali na pałac, aby ukraść coś z ogrodu bądź tarasu. Panie Potockie i Krasicki uznali, że trzeba poprzez dzieci dotrzeć do rodziców i zacząć uczyć najmłodszych. Sprowadzono fachową nauczycielkę i zatrudniono mnie, abym jej pomagał w nauczaniu. Mnie ludzie znali i szanowali naszą rodzinę, to łatwiej im było posłać dzieci na naukę. Choć nierzadko zdarzali się tacy, którzy woleli, aby dzieci pomagały w polu i obejściu, niż "marnowały czas nad kajetem". Hrabina Joanna Potocka (okoliczni nazywali ją Janiną) wystarała się dla uczniów o żywność i obuwie, zdobyła książki, elementarze, czytanki, oddała pod działalność szkolną murowany budynek znajdujący się we wsi. Wystawiliśmy jasełka na Boże Narodzenie 1919 roku. Ludność przekonała się do Potockich i już miało się ku dobremu, ale wszystkie starania przerwał najazd bolszewików.

Wiosną i latem rozgrywały się bitwy w prawie całej Polsce. Polacy walczyli z wrogimi wojskami bolszewickimi, przelewali krew za tak ciężko zdobytą Niepodległość. 31 lipca 1920 roku Rudka została zajęta przez bolszewików z 21 Dywizji Strzeleckiej. Pałac został przez nich zaatakowany z premedytacją. Jako komuniści dali upust swej pogardzie dla burżuazji i bogatych kapitalistów niszcząc bibliotekę pałacową. Znajdujące się w niej książki porwano, a meble uszkodzono. To, czego nie zdążono zniszczyć, podeptano, zmieszano z błotem i nieczystościami. Okna pałacu wybito, klamki rozkradziono, obicia mebli porwano. Już następnego dnia Polakom udało się odeprzeć atak bolszewików w okolicach wsi Winna i Radziszewo Króle. Armia Czerwona Ruszyła na Ciechanowiec. Walki toczyły się jeszcze 21 sierpnia, kiedy to pierwsza Brygada drugiej Armii Wojska Polskiego osiągnęła region Małyszczyn-Czaje-Olendy i zajęła też Rudkę. Na tym odcinku bolszewicy – 27 Dywizja Strzelecka

stacjonowała na linii rzeki Nurzec w Brańsku – mieli za zadanie odpierać ataki Wojska Polskiego przez dwa dni. Jednak jeszcze 21 sierpnia, praktycznie bez oporu, polskie wojska zajęły Brańsk.

W naszej gajówce zatrzymali się, przed atakiem na bolszewików broniących się 21 sierpnia na linii rzeki Nurzec w Brańsku, żołnierze Pierwszej Brygady drugiej Armii Wojska Polskiego. Jedyne oficer i jego ordynans odpoczywali w domu. Pozostali żołnierze ulokowali się przy stajni i w stodole. Dzień był upalny, ich konie odpoczywały w cieniu. Napojone skubały trawę razem z naszą kłaczą. Matula przygotowała żołnierzom duży sagan kaszy ze skwarkami, kankę zsiadłego mleka, kopę jaj sadzonych, słoninę, chleb wyjęty prosto z pieca. Jedli to ochoczo, szli od samego Sokołowa. Ja siedziałem z nimi. Podobała mi się ich broń, sam chciałem walczyć, ale od czasu, jak ojciec wiosną pod zwałonym drzewem uszkodził sobie plecy tak, że chodzić nie mógł i tylko w łóżku leżał, ja sam zająć się musiałem gospodarstwem i utrzymaniem naszej rodziny. Jeden z żołnierzy widząc mój zapał do broni powiedział, że mogę raz strzelić z jego pistoletu. Wskazał jemiolę na drzewie, abym spróbował w nią wycelować i już się mierzyłem, kiedy zobaczyłem w dali lisa zakradającego się do kurnika. Padł po jednym strzale. Kury ocalały, a matula na zimę miała ciepły kołnierz do palta.

Tragiczną pamiątką po przejściu frontu były nie tylko zdewastowane domy i gospodarstwa, ale też choroby zakaźne, takie jak tyfus i dyzenteria, które były spowodowane brakiem higieny i wszechobecnymi wszami.

Nas też nie ominęła ta zaraza. Mój brat Antoś i ojciec zarażeni czerwonką pomimo starań matuli, która próbowała ich leczyć suszonymi jagodami i naparem z kobyłaku, które zawsze pomagały przy zwykłych biegunkach, w ciągu tygodnia pomarli. Pochowani zostali we wspólnej mogile na cmentarzu w Rudce. Na płycie nagrobnej umieszczono również inskrypcję poświęconą Janinie, mojej siostrze. Matula żyła jeszcze wiele lat.

Pradziadek Broniek był gajowym przez całe życie, pracując najpierw w hrabiowskim lesie, później w Nadleśnictwie Rudka.

W roku 1926 ożenił się z Wandą z domu Hanys. Mieli sześcioro dzieci: Józefa, Janinę, Aleksandra, Antoniego, Kazimierza i Stanisława. Janinka zmarła w czasie II wojny światowej na gruźlicę. Wszyscy synowie poszli w jego ślady, pracując w Lasach Państwowych. Budowali wielopokoleniową historię rozwoju Polski Niepodległej, którą kolejne pokolenia naszego rodu kultywują. Czujemy się związani z naszym Podlasiem, choć czasami dziadek lub stryjek wspominają, że jesteśmy "zabużakami", Polakami z Kresów.

III miejsce

Aleksandra Pierwoła, Bartłomiej Sas, Gabriel Źoldak

Zespół Szkół Centrum Kształcenia Rolniczego

im. Augustyna Suskiego w Nowym Targu

Aleksandra Pierwoła, Bartłomiej Sas, Gabriel Źoldak

Opowieść weterana wojny polsko-bolszewickiej

To, co chcę Wam opowiedzieć, wydarzyło się w roku 1920. Jak wiecie było to nie całe dwa lata po odzyskaniu upragnionej wolności przez naszą ojczyznę. Sytuacja w Polsce była wtedy ciężka, toczyły się już boje z naszymi sąsiadami o ustalenie granic i jakby tego było mało ze wschodu nadciągnęło śmiertelne niebezpieczeństwo. Mam na myśli oczywiście bolszewicką Rosję, na czele z Włodzimierzem Leninem – tym przerażającym zbrodniarzem, któremu „marzyło się” wprowadzenie komunizmu w Europie. W związku z czym z jego powodu miliony niewinnych ludzi na świecie poniosło śmierć. Musieliśmy więc stanąć w obronie naszej ukochanej Polski, a nade wszystko w obronie wolności. Nigdy nie zapomnę tych wydarzeń a w szczególności dnia kiedy bolszewicy zostali przez nas pokonani. Długo zastanawiałem się jak opisać i opowiedzieć to, co stało się w tamtych latach, ale myślę, że jako były żołnierz i świadek tamtych wydarzeń powinienem to zrobić. Zatem, chcę przytoczyć parę opowieści z tamtych czasów.

1.

Wiosną 1920 roku ja i moja siostra spacerowaliśmy ulicami Radzimina. Na ścianach budynków rozwieszono plakaty z napisem: „Do broni!” Wstępujcie do Armii Ochotniczej! Bij bolszewika!

– Chyba masz dość rozumu, żeby się nie pchać na front? – zapytała moja siostra – Jesteśmy trochę za młodzi, nie sądzisz? Możemy się przydać do czegoś innego. Choćby do rozlepiania plakatów.

- Do rozlepiania plakatów! Bolszewicy szykują się do zdobycia Warszawy! Są dwa kroki stąd. - odpowiedziałem stanowczo.

Moja siostra westchnęła, przyznała mi racje. Stwierdziła że jeszcze trzy miesiące temu z radością i dumą witaliśmy Naczelnego Wodza, który wrócił do Warszawy po zdobyciu Kijowa. A teraz? Przed czterema dniami bolszewickie wojska zajęły Wyszaków. Dziś słuchaliśmy wystrzałów armatnich pod Radziminem, niecałe 20 kilometrów od stolicy!

– Co to będzie? – zapytała.

– No właśnie! Co to będzie? - odparłem. Przeszliśmy kawałek drogi aby mieć dobry widok na przedmieścia Radzimina, które były już mocno zrujnowane po kilkukrotnym przechodzeniu z rąk do rąk.

Już po chwili leżeliśmy na ziemi i oglądaliśmy zabudowania.

Bolszewicy są tam – wskazałem. Chcą nam zabrać niepodległość! Ich generał Tuchaczewski mówi że po trupie Polski pójdą dalej do Europy a może i świata !

Nagle rozległ się huk. Przed naszym pagórkiem uniosły się w powietrze tumany kurzu.

– Bolszewicy nas namierzili! Okazało się że mnie trafili. Rana była na szczęście niegroźna i siostra szybko mi ją opatrzyła. Wiedziałem, że ma przeze mnie kłopoty.

– Daj spokój! - machnęła ręką, tu ważą się losy ojczyzny, a może nawet losy Europy! Jeśli bolszewicy „połkną” Polskę tak jak połknęli Białoruś i Ukrainę, nie zatrzymają się, tylko pójdą dalej.

Po tym zdarzeniu już wiedziałem, że muszę wstąpić do polskiej armii, bronić naszej ojczyzny przed bolszewikami.

2.

Pierwsze zdarzenie jakie pamiętam z frontu, działo się w poniedziałek 2 sierpnia 1920 roku. Nasz oddział powoli posuwał się w kierunku Warszawy, dzień wcześniej przełamaliśmy front pod miejscowością Hermanowicze. W tym dniu uderzył na nas oddział Kozaków, ostro nas ostrzeliwali. W ostatnim momencie zmieniliśmy pozycję. Strzelaliśmy ciągle seriami do bolszewików, ja sam oddałem ponad 80 strzałów. Wieczorem zasnąłem w namiocie. Pogoda była straszna, padał rześisty deszcz. Nagle ktoś mnie obudził, szykowaliśmy się do odwrotu. Rosjanie odparli kilka naszych brygad. Później jednak okazało się, że jeden z naszych pułków rozwalił wrogów, więc mogliśmy zostać na noc w obozie. Ulewa nadal była straszna. Staliśmy w błocie po kolana, tak przemoczeni, że nie było na nas skrawka suchego ubrania. Mimo zakazu udało się rozpaść ogniska. Byłem tak bardzo zmęczony, że zasnąłem na stojąco. Niebawem jednak trzeba było uciekać, bolszewicy się zbliżali. Byli parę kilometrów za nami. Zebraliśmy się bezszelestnie, mówiąc do siebie szeptem. Uciekaliśmy wśród tak ciemnej nocy, że nie widać było końca swojej ręki a do tego deszcz nadal padał rześiście. Trudno mi o tym mówić, ale była to jedna z najstraszniejszych nocy, jakie przeżyłem podczas wojny z bolszewikami. Musieliśmy iść dalej w błocie przez kilka kolejnych miejscowości, w końcu zatrzymaliśmy się gdzieś w lesie za jakąś wsią. Było trochę lepiej, deszcz ustał. Rozpaliliśmy wielkie ogniska, żeby się trochę osuszyć. Spojrzałem wtedy na moje żołnierskie oficerki, które całkiem się rozlażyły, musiałem je zdjąć. Moje stopy miały jakiś dziwny niebieski kolor, a kostki mocno krwawiły. Nasz marsz jednak trwał nadal. Warszawa na nas czekała!

3.

Inne zdarzenie działo się również w sierpniu 1920 roku. A mówię o nim, gdyż bardzo dobitnie przedstawia bolszewików.

W miejscowości, której nazwy nie pamiętam widziałem ciekawe i dość śmieszne zdarzenie. Otóż przez tę miejscowość przechodził oddział wojsk bolszewickich. Wiem że spieszyli się bardzo pod Radzymin. Zauważyła to jedna starsza kobieta. Długo przypatrywała się mijającym szóstkom bolszewickich żołnierzy. Dobrze wiedziała, jak prymitywni i straszni są bolszewicy. W końcu nie wytrzymała i wpadła w straszną złość, wyskoczyła przed nich i zaczęła wygrażać im pięściami i jak opętana zaczęła na nich krzyczeć:

– Chcecie zdobyć Warszawę wy śmierdziuchy moskiewskie, jeden z drugim? Wy, psie mordy, marzy się wam nasza Polska, do której wam jeszcze daleko, przecież wy się nawet umyć nie umiecie a na zegarku nie potraficie godzin rozpoznać ! Hołota paskudna!

– Żarlibyście jeden z drugim własne guziki od portek, ale nawet tego nie macie! Wy, nawet do noszenia portek nie doszliście. Wy, świńskie ryje! Czy, wy mnie w ogóle rozumiecie jeden z drugim?

W pewnej chwili jeden z żołnierzy bolszewickich wycelował z karabinu w kobietę, po czym oddał strzał. Nie wiem, czy chciał ją zastrzelić, czy tylko przestraszyć, w ostatniej chwili kobiecie udało się uciec. A hołota, spiesząc się, pomaszerowała w kierunku Radzymina.

4.

Opowiadając o bitwie warszawskiej, nie mogę pominąć człowieka niezwykłego. Pamiętam dobrze jego historię, nigdy go nie zapomnę – a był nim ksiądz Ignacy Skorupka.

Gdy na początku lipca 1920 roku bolszewicy podążali w kierunku Warszawy, ogłoszono powszechną mobilizację do wojska. Ksiądz Ignacy poprosił swojego przełożonego kardynała Aleksandra Kakowskiego, o zgodę na zostanie kapelanem wojskowym. Kardynał jednak się nie zgodził, uważał Skorupkę za bardzo zdolnego duchownego, mówiąc krótko nie chciał go stracić na wojnie. Ksiądz Ignacy zwrócił się zatem do biskupa polowego Stanisława Galla o wstawiennictwo w swojej sprawie i z jego pomocą udało mu się uzyskać upragnioną zgodę. Został kapelanem w prawobrzeżnej Warszawie. Spędzał dużo czasu na dworcach, gdzie pocieszał, spowiadał i błogosławił żołnierzy idących walczyć z bolszewikami. Odwiedzał też koszary wojskowe i szpitale, dodawał otuchy, udzielał sakramentów, dodawał wiary w zwycięstwo nad wrogiem.

Pamiętam 13 sierpnia wyruszył na front z I batalionem 236 pułku piechoty Legii Akademickiej, w którym znalazło się wielu jego dawnych uczniów. Towarzyszył im, a w razie potrzeby służył ostatnim namaszczeniem. Byli to młodzi chłopcy, mieli po siedemnaście i osiemnaście lat. Batalion wcielono następnie w szeregi 36 pułku piechoty Legii Akademickiej. Przed wymarszem kapelan sporządził testament, w którym napisał:

„Dług za wpisy szkolne spłacam swym życiem. Za wpojoną miłość Ojczyzny płacę miłością serca”.

Koło południa jego oddział dotarł do miejscowości Ząbki. Wieczorem odprawił mszę świętą w drewnianym kościele, tam powiedział do żołnierzy prorocze słowa:

„Czekają nas jeszcze ciężkie ofiary, ale niezadługo – piętnastego, w dzień naszej Królowej, losy odwrócą się w naszą stronę”.

14 sierpnia 1920 roku był ostatnim dniem życia kapelana. Sam dokładnie nie wiem, jak zginął. Zdaje się że towarzyszył walczącym i udzielając ostatniego namaszczenia rannemu żołnierzowi, zginął od zabłąkanej kuli, która trafiła go w głowę, albo padł w boju, krocząc w stule i z krzyżem w ręku w kierunku nacierających wojsk bolszewickich.

Nigdy nie zapomnę tego dzielnego kapłana.

5.

To tylko garstka moich wspomnień, ale jakże istotnych i ważnych. Wojsko Polskie pokonało bolszewików a Polska utrzymała wolność. Nawałnica bolszewicka została zatrzymana. Gdyby Piłsudskiemu i naszej armii nie udało się powstrzymać pochodu armii czerwonej nastąpiłby niebezpieczny zwrot w historii Polski, zostałyby poważnie zagrożone istnienie cywilizacji zachodniej – cywilizacji chrześcijańskiej. Sądzę, że ta bitwa uratowała Polskę i Europę przed totalitaryzmem sowieckim.

WIERSZ

I miejsce

Aleksandra Młoczek, ZSCKR Mokrzeszów, Trudna miłość

Aleksandra Młoczek

Trudna miłość

Ta najtrudniejsza miłość
przyszła do mnie pewnego dnia.

Usiadła. Popatrzyła.

Widzę jej rany,
jej cierpienie.

Ale jak nie kochać tej,
co tyle przeszła?

Oddam jej, co najcenniejsze – siebie.

Tyle mogę.

II miejsce

Amelia Rutkowska, ZSCK, *Roztańczona Ojczyzna*

Amelia Rutkowska

Roztańczona Ojczyzna

W sukience z chabrow i maków

Tańczy moja Ojczyzna

Kujawiaki, oberki wywija

By w cieniu brzozy później spocząć

I w gnieździe bocianim duszę zatopić

Przydrożnym krzyżom się kłania

Groby żołnierskie całuje

Poraniona lecz pełna miłości

Wszystkich swą mocą zadziwia

Wzruszeniem oczy wypełnia

W nutach Chopina

I w wierszach Słowackiego

W Totus Tuus się przemienia

I wciąż w sercach odradza

I tylko dorosnąć do Niej musisz

I pokochać od nowa

By móc wraz z nią zatańczyć

do najpiękniejszej

bo niepodległej melodii

III miejsce

Alicja Rybarkiewicz, ZSCKR Kowal, Moja Ojczyzna

Alicja Rybarkiewicz

Moja Ojczyzna

W każdym słowie

W rycerzach pod Grunwaldem

W każdej nucie

I w chatach w Biskupinie

W powiewie wiatru

Na szlakach w górach zdeptanych

I w wodach Wisły

i na zielonej równinie

Szukam Cię

U stóp Jasnogórskiej Madonny

I choć nie widzę

Na Powązkach okrytych żałobą

To sercem Cię czuję

Wszędzie Cię czuję Ojczyzno

Kraju mój ojczysty

Jak oddech niosę Cię z sobą

W dotyku rąk spracowanych

Wpisana jesteś we mnie

Którymi tato przytulał

Wdzięczności literami

W bajkach w dzieciństwie słuchanych

Rodziną

I w babci konfiturach

Szkołą

W każdej modlitwie

Historią

I w słowach w złości często rzucanych

Dobrymi Zwyczajami

We wszystkim tym ze mną jesteś

Bez Ciebie jak bez duszy ciało by puste było

Kraju mój ukochany

Ojczyzno moja droga –Tyś moja największa miłość.

